Rok VI. 11 Listopada 1934. Nr. 46

DZWONECZEK

Dzień Wolności.

W całej Polsce co rok obchodzi się uroczyście rocznicę dnia 11-go listopada 1918 roku, jako pierwszej chwili odzyskania niepodległości naszego Państwa. Był to bowiem koniec wielkiej wojny światowej, w której po jednej stronie walczyły państwa niemieckie, a po drugiej inne narody z Francją na czele.

W ów dzień na wszystkich frontach zaprzestano naraz działań wojennych, gdyż Niemcy poprosili o rozejm czyli zawieszenie broni. Uznali się bowiem za zwyciężonych i musieli przyjąć podyktowane im przez zwycięzców warunki pokoju.

Z tą samą chwilą Polska, której dwie części przemocą niegdyś zagarnęły pod swoje panowanie Niemcy i Austrja, poczuła się wolną i zaczęła zewsząd wypierać władze zaborcze. A ponieważ w Rosji zawalił się już przedtem tron carów i nastała republika, przeto i trzecia, największa część ziem polskich odzyskała wolność.

Tak to Sprawiedliwość Boża dokonała cudu wskrzeszenia Państwa Polskiego, o czem przez przeszło sto lat niewoli marzyli, czego pragnęli, za co ginęli na Sybirze, w więzieniach i na szubienicach najlepsi synowie Ojczyzny; o co też bohatersko walczyły wszystkie zbrojne powstania narodowe, począwszy od Naczelnika Kościuszki i Legjonów Dąbrowskiego, a skończywszy na Legjonach Józefa Piłsudskiego.

Wy, dzieci, które dzisiaj liczycie kilkanaście dopiero lat życia, nie znałyście ani niewoli Polski, ani nie poznałyście okrucieństwa wojny. Urodziłyście się już w wolnej Polsce i żyjecie w czasach pokoju. Niechże więc w tym dniu rocznicy odzyskania niepodległości — wraz z gorącą podzięką Bogu po kościołach Pańskich, myśl wasza, pospołu z całym narodem, pobiegnie do Warszawy na Grób Nieznanego Żołnierza, który symbolicznie kryje w sobie prochy wszystkich bohaterów poległych w walce za Wiarę i Ojczyznę.

Między szkołą a domem.

— Mamo, ja już z tą starą teką nie będę chodził do szkoły — wykrzywiał brzydko twarz dwunastoletni Franuś.

— Dlaczego?

— Bo taka paskudna, potargana, brudna, ani się dobrze zamyka, ani trzymać ją niema za co.

— Przecież dostałeś ją tak niedawno. Popatrz na tekę ojca. On także używa swojej codziennie i to już przez kilka lat, a niczego jej jeszcze nie brakuje.

— Ojca teka pewnie była droższa, to i lepsza i długo służyć może. A moja... co!

— Twoja była również dobra, jak tamta, ale ojciec swoją szanuje, a ty...

— Cóż ja robię ze swoją? Idę z nią do szkoły i ze szkoły do domu.

Matka pokiwała znacząco głową i spytała tonem takim, jakby odpowiedź syna była jej zupełnie znaną.

— A co z nią robisz między szkołą a domem?

Na to pytanie Franuś już nic nie odpowiedział, ale ja go wyręczę, bo bardzo często widuję na ulicach takich Franusiów z tekami, które służyć mają na przechowywanie książek. I podziwiam z jednej strony wytrzymałość i cierpliwość tych biednych tek, a z drugiej bezmyślność uczniaków, brak wszelkiego poczucia obowiązku szanowania rzeczy, na które przecież grosz dać musieli rodzice, nieraz z wielkim trudem.

Te teki, które przecież, gdyby były używane oszczędnie, uważnie, porządnie, mogłyby służyć uczniowi niemal przez cały czas jego uczęszczania do szkoły, — a tymczasem chłopcy w codziennych swoich bitkach na ulicy w powrocie do domu, tłuką się niemi wzajemnie po plecach, po głowach, rzucają niemi na siebie niby piłką, w najlepszym razie podrzucają je w górę, chwytając w ręce, a — jeżeli się nie uda — to wtedy biedne teki padają na ziemię w kurz uliczny, w błoto, w brudne kałuże.

Czyż można się potem dziwić, że są obtargane, otarte, poplamione, z poodrywanemi rzemykami, klamerkami, że się nie zamykają i że niema ich za co trzymać? — jak się wyraził z oburzeniem Franuś.

Jeśli właśnie trzymając tekę za ową „rączkę“, wymachuje się nią na wszystkie strony i używa niby jakiejś broni do zwalczania przeciwnika, trudno żądać aby najmocniej nawet sporządzone „rączki“ wytrzymały długo takie obchodzenie się z niemi ich właścicieli.

A zatem niech się Franuś i jemu podobni koledzy zastanowią nad tem poważnie, jak należy obchodzić się z tekami i czy godzi się narażać rodziców na ciągłe a niepotrzebne wydatki w tak ciężkich dla wszystkich czasach.

Red.

Bronzowi chrześcijanie.

Niedawno bawił w Polsce misjonarz ks. Leon Piasecki, który wróciwszy do swojej pracy w dalekich Indjach, za pośrednictwem dzienników dziękował rodakom w Ojczyźnie za serdeczne przyjęcie i za pomoc, jaką mu okazali w ciężkim jego zawodzie apostolskim, składając datki na cele misyjne. Opowiada, jak bardzo uroczyście witali go Hindusi, ujrzawszy zpowrotem między sobą. Wiwatowali głośno i bili w bębny, a potem prosili, by im wszystko opowiedział co widział i słyszał w Polsce. Kiedy zaś dowiedzieli się, że ziomkowie ich ukochanego misjonarza chcą im dopomóc w budowie kościółków, aby mogli być dobrymi chrześcijanami, oklaskom nie było końca. Zaczęli szeptać między sobą i cieszyć się, że już teraz wszyscy nawróceni Hindusi będą mieli swoje kościółki, skoro ich ojciec przywiózł na to pieniądze.

A tymczasem — skarży się ojciec Piasecki — na stopięćdziesiątdwie stacje misyjne, jakie ma pod swoim zarządem w Indjach, zaledwie 67 posiada kapliczki. Na pierwszy rzut oka nawet niktby nie zgadł, że to ma być dom Boży. Tak ubożuchno, tak strasznie niepokaźnie wyglądają te świątynki, w których nowi chrześcijanie o bronzowej skórze składają cześć Stwórcy i Panu odwiecznemu.

A przecież w niejednym takim kościółku może gorętsze i czystsze płyną modły do Boga z serc i ust kolorowych Hindusów, niż w naszych



bogatych, wspaniałych świątyniach, gdzie często biali chrześcijanie nie zdają sobie dostatecznie sprawy z tego, że znajdują się w Przybytku Pańskim, wszyscy bowiem nowoochrzczeni odznaczają się żarliwą pobożnością i mogliby niekiedy służyć za wzór dla tych krajów i narodów, które lat już tysiące są wyznawcami Chrystusa, a jeszcze dotychczas nie przejęły się nawskróś Jego nauką.

Misje katolickie wśród pogan szerzą nietylko religję chrześcijańską, ale wnoszą w te zamorskie ziemie cywilizację. W ludach obcych ras znajdują misjonarze nasi bardzo pojętnych i nader chętnych uczniów. Nawet takie rzeczy, jak nauka gimnastyki bardzo się podobają młodzieży hinduskiej, która oddaje się tej pożytecznej rozrywce z przyjemnością. Właśnie taki obrazek, przedstawiający lekcję gimnastyki przy szkole misyjnej, podajemy w dzisiejszym numerze.

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy).

Żaden z nas czterech nie kładł się przez całą noc. Czekaliśmy, walcząc narazie tylko z komarami. Wprawdzie już nieraz dawniej nasi brunatni służący ostrzegali nas przed napadem czerwonoskórych Indjan, zawsze jednak uniknęliśmy szczęśliwie spotkania z dzikimi krajowcami. Natomiast tym razem sami zauważyliśmy większy, niż kiedykolwiek niepokój obu Malajów po rozmowie ze spotkanym wczoraj w drodze kupcem ekwadorskim. Dowiedzieli się od niego złych nowin i ciągle nam powtarzali, byśmy mieli broń w pogotowiu. Kiedy wreszcie północ minęła, a jeszcze nic nie zaszło podejrzanego w okolicy naszego obozu, zaczęliśmy natarczywiej dopytywać czego się właściwie obawiają. Okazało się wtedy, że w istocie powinniśmy się byli spotkać z włóczącą się po tych stronach już od kilku tygodni bandą bardzo niebezpiecznych rozbójników, którzy szczególnym zbiegiem okoliczności, pochodzili z tej samej części świata, co i nasi służący.

Oto w głębi Peru w niezmiernie niedostępnych górach, znajduje się w Putumajo plantacja drzew kauczukowych, której przedsiębiorcy dopuszczali się tak strasznych okrucieństw na miejscowych Indjanach, zmuszając ich do wydatniejszej pracy, że wreszcie czerwonoskórzy robotnicy opuścili te okolice i plantatorowie musieli starać się o obcych. Niedawno w jednym z portów ekwadorskich wysłannik owego przedsiębiorstwa z Putumajo wynajął do swych plantacyj kilkudziesięciu najmitów, tak zwanych „kuli“, należących do rasy malajskiej. Przybyli zdaleka nie słyszeli jeszcze o tem, dlaczego nikt nie chce się najmować do robót przy wydobywaniu kauczuku w Putumajo, więc chętnie zgodzili się, byle czemprędzej porzucić innego przedsiębiorcę, który ich strasznie wyzyskiwał.

Stanowili oni mianowicie załogę statków wielorybniczych, które u wybrzeżu Peru i Ekwadoru puszczają się na niebezbieczne wyprawy dla zdobycia kaszalota czyli potwala. Statki te, cuchnące tłuszczem zjełczałym, tak zapowietrzają porty, że im nawet nie wolno przebywać w samej przystani. Załogi zaś ich, złożone z ostatnich wyrzutków rozmaitych krajów, (ponieważ nie da się do nich nająć żaden porządny marynarz, by nie być zmuszonym dosłownie kąpać się we wstrętnym tłuszczu), stają się często postrachem wybrzeży i wszędzie uchodzą za zgraję zbójców. Do takich właśnie rozbójników morskich należeli owi Malajczycy, którzy porzuciwszy swego kapitana, najęli się do Putumajo. Po kilku miesiącach zbiegli z plantacji kauczuku, podobnie jak Indjanie, nie chcąc znosić okrucieństw i odtąd włóczyli się po dorzeczu górnej Amazonki, gdzie napadali na podróżnych kupców. Z ową bandą mieliśmy się spotkać oko w oko przed opuszczeniem Palmalu ekwadorskiego. Przed nią ostrzegali nas służący.

Dziwiliśmy się, że oni mówią o niej z taką nienawiścią, skoro sami również są Malajami i niedawno jeszcze służyli także na statkach, polujących na wieloryby. Na nasze pytania sami nam to wytłumaczyli. Oto uważali się oni za coś od tamtych wyższego, jako Maori, z dziada pradziada mieszkający w Nowej Zelandji; tymczasem tamci w pojęciu Fidżinosa i Tahitiego, nie mieli nigdzie rodzinnego kraju. Pochodzili wprawdzie także z wysp, jak Nowa Zelandja, należących do Polinezji, ale się na nich rodzili jako włóczęgi, przybłędy. Byli to bowiem Malajowie azjatyccy z archipelagu Sundzkiego, których ku Australji ciągnęły zbójeckie wyprawy, a burze morskie lub inne przygody zagnały na malutkie wysepki koralowe, kokosowcami pokryte, wśród archipelagu Polinezji, gdzie też osiedlali się, znani pod nazwą Normandów Wschodu. Kiedyśmy się im przypatrzyli dziś rano, wydali się nam jednak bardzo podobni do naszych Nowozelandczyków, którzy nimi tak pogardzają.

C. d. n.

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Łamigłówka.

Z poszczególnych zgłosek ułożyć wyrazy, których początkowe litery dadzą imię i nazwisko wielkiego pisarza polskiego, zmarłego w czasie wojny w listopadzie: bi — bra — cy — cy — dent — dy — e — e — eu — gna — hu — i — i — in — ja — ka — ki — ko — kra — lo — lon — mil — mo — na — ni — nie — pa — psy — ra — ro — ryb — stu — szu — ta — try — tusz — wa — wa — wiak — wie — wle — y — ze.

Znaczenie wyrazów: 1) Fabryka szkła. 2) Matka rodu ludzkiego. 3) Inaczej pole. 4) Budynek, w którym zbiera się na narady zarząd miasta. 5) Inaczej y. 6) Zamieszkują Pomorze. 7) Inaczej uczeń. 8) Ptaki należące do drobiu. 9) Imię żeńskie. 10) Nowonarodzone dziecko. 11) Taniec polski. 12) Imię męskie. 13) Część świata. 14) Zwierzę ssące żyjące w morzu. 15) Gatunek wierzby. 16) Owoc południowy. 17) Zwierzę podobne do konia, żyjące w krajach gorących.